Nro 36. R. 1837. PIĄTEK 27 PAŹDZIERNIKA.

ZBIÉRACZ
LITERACKI I POLITYCZNY.

TYGRYSY i WĘDROWCY.

Pewien Européjczyk ze służącym swym, Indyaninem Simapo, udawszy się na polowanie zatrzymali się wśród lasu, dla wypoczynku. — Gromada małp ukazała się w krótce w pobliskich krzewach, lecz nie kołysała się podług zwyczaju na drzewach, tylko z gałęzi na gałęź skacząc, zdawała się chcieć uniknąć grożącego niebezpieczeństwa. — Inne małe zwiérzątka przebiegały poźniéj, lecz także w postawie uciekających. Simapo zwrócił uwagę Pana, iż wszystkie z jednéj strony przybywając, spodziéwać się każą, iż tamże jest powód ich przestrachu. — To są tygrysy, po chwili zawołał, czuję ich... i słyszę... Européjczyk pochwycił na te słowa broń, lecz sługa wzbronił mu strzélać, twiérdząc, iż z niémiłéj woni która go dochodzi domyśla się że są w znacznéj ilości. — Ryczenie samców rozlegało się po powietrzu. Podróżni nasi wzięli się do nabijania broni, i z największym pośpiechem wdrapali się na blizkie drzewo, Simapo, który się piérwéj do tego wziął, i więcéj był z podobnemi zdarzeniami oswojony uchwycił prędzéj za mocną gałęź, lecz jego Pan nie tak zręczny, o mało nie spadł trafiwszy na wpół z butwiałą, dopiéro gdy spostrzegł kilkunastu tygrysów zmiérzających ku temu miéjscu, z zadziwiającą zręcznością dostał się wyżéj. Tu atoli spostrzegł w blizkości gniazdo ós czarnych, których zjadliwe ukąszenie znane mu było, z największą więc obawą, trzymał się drzewa, aby lekkiém poruszeniem nie obudzić tych małych a szkodliwych zwiérzątek. Z zazdrością spoglądał na szczęśliwszego sługę który będąc na wyższéj gałęzi bezpieczniéjszym był od napaści. — Cztérech sam-

ców znajdywało się w blizkości drzewa; byli oni świéżo pokąsani i krew im z ran płynęła. O podal widać było wielką samicę która bez tchu prawie położyła się na ziemi. — Jeden z tygrysów za zbliżeniem się spostrzegłszy Européjczyka wsparł przednie łapy na drzewie i iskrzącém wéjrzeniem zdawał się oczekiwać na swoją ofiarę. Paszcza roztwarta ukazywała wielkie mocnemi zębami zaopatrzone szczęki; para z oddéchu dochodziła do nóg naszego strzelca; zdawało się iż zamyślał wspiąć się na drzewo i tylko dla nabrania sił odpoczywał.— Panie! zawołał Simapo, użyj wody ogniowéj i niezwłocznie, inaczéj zginiemy! Zrozumiał go natychmiast biały, i dobył z torby flaszeczkę z witryjolem i wylał ją na oczy tygrysa. Ryk okropny rozlégł się natychmiast. — Gdy spójrzał na dół spostrzegł tygrysa tarzającego się po ziemi, toczącego piany. — Nagle powstał tenże, a ryczący latał na oślep, z boleści i ciągłym biegiem zmordowany, padł niedaleko od drzewa na którym nasi strzelcy się znajdowali. Samice wydawały takoż ryki przeraźliwe lecz nie uciekały z miéjsca. — Pozwól mnie Pan działać, rzekł Simapo i wyjął z swéj torby dla siebie przeznaczoną żywność a pokrajawszy w małe części, potarł je pewnym rodzajem zatrutego mydła które tamtéjsi miészkańcy zwykli przy sobie nosić, poczém krzyknąwszy dla zwrócenia uwagi zwiérząt z całéj siły, rzucił pomiędzy nich takowe. Tygrysy z chciwością sobie właściwą pożarły rzucony im żer. W chwilę potém gdy trucizna skutkować zaczęła, wyły przeraźliwie i tarzały się na około samicy, lecz w krótce porzuciły ją uchodząc w gęstwinę. — Idą zaspokoić pragnienie, zawołał Simapo zeskakując z radości z drzewa które im za przytułek służyło. Jego krzyk radosny, łącznie z rykiem oddalających się tygrysów, nagość prawie zupełna, długie włosy rozwiane po ramionach, i piekielna niemal radość malująca się w twarzy czyniła go w istocie podobniéjszym do dzikiego zwiérza jak do człowieka. — W téj chwili porwał za flintę a wymierzywszy do tygrysa pokaléczonego nie daleko od drzewa leżącego i z bólu prawie osłu-

piałego na miéjscu go położył. — Poczém nasi myśliwi opuścili schronienie, a Européjczyk uściskawszy odważnego Indyanina puścił się wraz z nim w dalszą drogę.

DWA KRZYŻE.
(ZDARZENIE PRAWDZIWE.)

Przybyłem do Hawru, a nie mając żadnego celu w zatrudnieniu, zwróciłem kroki moje do portu. Szedłem godzinę prawie jak machina, aż na mnie zimny wiatr wionął gwałtownie, i zrobił mię uważnym, że się zbliżam do morskiego brzegu. Stanąłem na chwilę dla ubawienia się widokiem spaniałego przestworza, potém szedłem wzdłuż brzegu. Przybyłem do jednéj chaty drewnianéj, nakrytéj słomą, przed którą mały i lichy statek mokremi linami był do palu przywiązany. — »Tu miészka zapewne rybak,« rzekłem sam do siebie i otworzyłem drzwi przymknięte. — Starzec, na którego głowie jeszcze się nie wiele bieliło srébrnych włosów, siedział w kącie i naprawiał sieć czarną. Tak mocno zajęty był swą pracą, żem dość miał czasu przypatrzyć się spokojnéj i pięknéj jego twarzy. Przeniknniony uszanowaniem zdjąłem kapelusz i zapytałem go uprzéjmie: czy nie do niego ta łódź należy, która jest na dworze u brzegu? Starzec podniósł pomału głowę. — »Tak jest,« ozwał się do mnie. — »Czy nie chciałbyś mnie trochę przewiéźć po morzu?« — »Dobrze,« odrzekł, i powstawszy odłożył na bok swoją robotę. Potém pójrzał z uwagą przez okno i obracając się do mnie, rzekł te słowa: »Czy widzisz pan tę czarną chmurę? Radzę panu nie puszczać się dzisiaj na morze. Nie za długo może będziemy mieli burzę.« — »Alež niebo tak czyste i błękitne, a morze tak spokojne.« — »Kiedy pan chcesz koniecznie, dobrze; pójdę i wszystko złagodzę.« — Uwaga, którą mi właśnie zrobił ten człowiek, przywiodła mię na inne myśli, rzekłem przeto do niego, że jeźli istotnie nie dowiérza pogodzie, odłożymy przejażdżkę na dzień następny. — »Mniemam, że tak będzie lepiéj,« odpowiedział starzec. To rzekłszy usiadł i zaczął znowu naprawiać

sieć swoję, podczas gdym ja się przypatrywał jego robocie. — »Jesteś już w latach, poczciwy starcze?« rzekłem, »smutna to jest rzecz w tak podeszłym wieku pracować.« — »Praca jest naszém życiem, mój panie,« odrzekł, »a tylko koniec życia jest razem i końcem naszéj pracy.« — »Żyjesz samotnie jak widzę?« — »Samotnie!...« Głos, którym wyrzekł to słowo, na wskróś mnie przejął. — »Nié masz więc nikogo, którzyby cię wspiérał w twéj pracy?« — »Nie potrzeba mi niczyjéj pomocy, żywi mię praca rąk własnych.« — »Czy nié masz dzieci?« — »Miałem jedno.« — »Czy umarło?« zapytałem go cichym głosem i poznałem wkrótce, jak mocno to pytanie utkwiło w jego sercu. — »Umarło, panie...« W tym obadwaj umilkliśmy na chwilę, potém podniósł się nieco i rzekł, przysuwając mi ławkę: »Czy pan nie raczysz usiąść?« — Usłuchałem go, usiadłem, a rozmowa potoczyła się daléj. — »Ile masz lat poczciwy człowieku?« — »Siedmdziesiąt i dwa z okładem.« — »Taż chata twoja własność?« — »Sam ją wybudowałem.« — »A dla czegóż wystawiłeś ją na tak pustym, samotnym placu?« — »Z powodu, który trudno, aby kto inny pojął.« — »Czy wolno mi zapytać się o ten powód?« — Na to wskazał mi palcem w głąb przez drzwi, na oścież otwarte, i rzekł głęboko westchnąwszy: »Oto dla tego tam krzyża, co krzakami jest otoczony.« — Powstałem dla przypatrzenia się z blizka. »Czyto grób?« zapytałem. — »Grób!« powtórzył ponurym głosem. — »Ale nié ma na nim napisu?« — Uderzył się w pierś, i rzekł: »Tu jest napis!« — Dwie łzy, jak perły wielkie potoczyły się po licu starca; tknięty jego żałością ująłem go za rękę: »Płaczesz, biédny starcze!« — Skłonił głowę i ociérając łzy z oczu, odrzekł posępnym głosem: »Jestto grób mego syna, jedynego dziécięcia, na którém własnemi oczyma patrzał, jak ginęło. Tu biédny Henryk spójrzał raz ostatni na swego ojca, a ja, mimo najgorętszą miłość, nic mu pomodz nié mogłem. Ja, starzec niedołężny, żyję, a on tak młody i tak silny padł śmierci łupem!« — Ująłem w obie ręce bróździami marszczków pooraną rękę

starca, i czułem łzy, które rzęsistemi kroplami na nie spadały. Nareszcie podniósł głowę i rzekł spokojnie: »Nazajutrz zostałem bezdzietnym, samotnym i opuszczonym; grób i krzyż były memi towarzyszami; Henryk leżał w trunnie, zimny, bez duszy, i tak jak jego ojciec, samotny i opuszczony; ale morze, to morze okrutne, jak ów zbójca nielitościwy, zdawało się, że każdym wałem łamiącym się o skały, woła do mnie ryczącym głosem: »Ojcze, wydarłem ci syna, aleś ty mi winien ocalenie swojego życia!« — Po niejakiéj chwili mówił daléj: »Nié masz w téj chacie ani deski, ani kamiénia, któryby nie był memi łzami skropiony.« — Tu przestał mówić; osłabiony oparł się o krawędź drzwi. Starałem się pocieszyć go, ile mogłem. Ścisnął mnie za rękę. Aż po kilku chwilach milczenia ośmieliłem się znowu rozpocząć z nim rozmowę.— »Twój syn zginął na morzu?« — »Tak, utonął z owéj łodzi, którą pan widzisz.« Tu wziąwszy się ciężko za głowę dłonią, posunął nią po twarzy i otarłszy sobie łzy z oczu, rozpowiadał dość spokojnie: — »Henryk mój miał lat szesnaście, chciał jak jego ojciec zostać rybakiem, chciał być, jak mówił, podporą méj starości, wynagrodzić mi za trudy, które miałem około młodego wieku jego. Żyliśmy z ryb połowu, a w téj łodzi, którą pan widzisz, puszczaliśmy się nieraz o dwie mile na morze. Płynęliśmy na połów ryb zwykle wieczorem. Jednéj nocy nadbiegła nas tak nagle burza, że mimo podwojonéj pracy wiosłami, nié mogliśmy zdążyć do brzegu. Morze miotało skołatanym statkiem naszym tak gwałtownie, że mnie po raz piérwszy strachem nabawiło. Nagle postrzegam toczący się na nas ogromny bałwan, i wołam na Henryka, aby się mocno trzymał, bom przewidział, że ta wzdęta góra statek nasz wywróci. I tak się stało w istocie. Jak piorun uderzyła powódź o statek, i pogrążyła nas w ciemnéj nocy; wraz znowu wzniósł się statek na powierzchnią wody, a ja, powróciwszy do zmysłów, spójrzałem zaraz za mym synem. Ale niestety! już go nie było! tylkom słyszał krzyk przeraźliwy i ujrzałem biédnego Henryka,

walczącego z morzem burzliwém! Starałem się skierować do niego statek, rzuciłem ku niemu linę, wszystko nadaremnie. W tym zaczęły grać wichry, uderzyły pioruny, a przy świetle błyskawicy spostrzegłem jak mój syn nieszczęśliwy tonął w morzu; potém znowu się zjawił, ale już osłabiony, ledwo władający ramiony. Z okropnym krzykiem skoczyłem w morze. Już tylko na jeden wystrzał byliśmy oddaleni od brzegu; prułem silne wody i wołałem: Synu, gdzie jesteś! ale tylko huk piorunu i ryczące wiatry ozwały się na moje wołanie. Siły mnie opuściły, i dziękowałem Bogu, że mi wraz z synem umrzéć dozwalał. Ale inaczéj zrządziły wyroki. Rozhukane morze wyrzuciło mnie na brzég bez zmysłów. « — Tu umilkł starzec i otarł sobie pot z czoła, potém pójrzał na mnie z uwagą i mówił daléj: » Gdym otworzył oczy, leżał mój syn koło mnie, ale blady jak chusta, oczy miał zamknięte, już nie żył! Czy pan pojmujesz to słowo?... Ale ja żyłem! « To rzekłszy pełen rozpaczy uderzył dłońmi w swe czoło. — Opowiadanie jego przeniknęło mi serce, nié mógłem do starca przemówić słowa. Oparłszy głowę o okno, staliśmy w milczeniu jeden obok drugiego. W tém wiatr zaniósł do nas słaby głos dwonu. Starzec podniósł siwą głowę, słuchał, a potém obróciwszy się do mnie, rzekł te słowa: » Przebacz panie, jestto chwila, w któréj zwykłem modlić się na grobie mego syna. « — Widziałem jak ukląkł przy krzyżu, i opuściłem chatę. — W pięć miesięcy poźniéj przybyłem znowu do Hawru. Miałem tam zabawić tylko godzin kilka, ale nié mogłem przeniéść na sobie, abym się nie zobaczył z biédnym rybakiem. Pospieszyłem do chaty nad morskim brzegiem, ale już jéj nie było; zastałem tylko porozrzucane kamiénie i dwa drewniane krzyże, jeden obok drugiego!

CHMURA.

Nad duszą mędrca zawisł cień chmury;
Mędrzec jéj dymy brał za niebiosy:
Była to mądrość. —
W tém promień Wiary przebił ją z góry.
We łzach pokory, jak w kroplach rosy,
Stopniała chmura.—
I poznał wtedy czém była;
Jakie słońce przed nim kryła!

Znaczenie przeszłéj Szarady:
Połowy.